

przeciwnikowi i podniósł rękę do peruki, chwiejącej się na jego głowie. Jednym zręcznym ruchem zerwał ją wraz z brodą i wąsami, mówiąc pogardliwie:

— Po co upierać się przy tych głupstwach. Już teraz na takie sztuczki zapóźno.

— D'Orwald! Pan d'Orwald! Chartton! — rozległy się zdumione okrzyki.

Nastąpiło zamieszanie nie do opisanie. Nikt nie rozumiał jeszcze, co się stało. Tharps uśmiechał się, zadowolony i pewny siebie.

Pseudo-profesor, pod ogniem tyłu spojrzeń, skierowanych w jego stronę, cofał się, nie myśląc już jednak o ucieczce, w stronę przeciwną drzwiom.

Milczenie głębokie zaległo w salonie. Patrzymy tylko, jak gdyby całe pragnienie zrozumienia skoncentrowało się w oczach.

Zauważyliśmy, że pseudo-profesor miał rękawiczkę na prawej ręce. Nareszcie przestał się cofać i bezsilnie wsparł się o napotkany kominek.

Do salonu wszedł teraz Asselin z rozpromienioną twarzą i zbliżył się do Tharpsa.

— Muszę panu powinszować tej zręcznej roboty! — rzekł Tharps, podając mu rękę — Wywiązałeś się znakomicie ze zadania.

— Wypełniłem tylko rozkazy pana, panie Tharps — odparł Asselin skromnie.

Wokoło nas koło ciekawych zacieśniało się coraz bardziej. — Każdy pragnął jakichś wyjaśnień. Wiedzano już teraz, że człowiek, podający się za profesora Schoettena, zabawił się w mistyfikację i że to był d'Orwald, którego miano za zamordowanego — ale poza tem nie wiedzano nic więcej. Tajemnica nie odkryta trwała dalej.

— Panie Tharps, czy mogę już zabrać stąd tego człowieka? — przerwał milczenie Asselin.

— Zaraz, mój przyjacielu — odparł Tharps, podchodząc do swojego przeciwnika — mam mu zadać jedno pytanie.

— Gdzie jest pierścień? Proszę odpowiadać bez kłamstw, bo na nic się one już nie przydadzą.

Zapytany zaśmiał się ironicznie.

— Oto jest tam — odrzekł — może się panu jeszcze przyda na co.

Mówiąc to wskazywał ręką kominek, gdzie pomiędzy płomieniami topniała z lekkim sykiem kulka złota.

Człowiek, który przyprowadził prawdziwego profesora Schoettena, rzucił się do kominka i zauważyłem jak twarz jego zciągnęła się gniewnie, kiedy przekonał się, że klejnot zamienił się już w niekształtną, nierozpoznawalną masę.

Podczas tej niemej sceny lekki uśmiech błakał się po ustach Tharpsa.

Skinieniem ręki przywołał Asselina i szepnął do niego coś cichym głosem. Asselin natychmiast podszedł do pseudo-d'Orwalda i popchnął go ku drzwiom, gdzie już czekało na niego dwóch agentów mających go odprowadzić do więzienia, sam zaś powrócił do pokoju, oczekując dalszych rozkazów Tharpsa. Tenże zaś uczynił ręką ruch, wskazujący, że chce mówić.

W tej chwili któryś z panów przysunął mu fotel, drugi podał otwartą papierosnicę. Wiliam skłonił się w stronę dam, prosząc o pozwolenie zapalenia papierosa, czego mu udzielono bardzo chętnie i rozpoczął swoje opowiadanie.

— Zaraz na wstępie śledztwa, zważywszy wszystkie okoliczności towarzyszące wykradzeniu zwłok pana d'Orwalda, wyrobiłem sobie przekonanie, że wykradzenie to wcale nie miało miejsca. Byłem tego tak pewnym, że nawet twierdziłem wobec dyrektora policyjnego, że zwłoki zamordowanego ani na chwilę nie opuściły pensjonatu „Donay”. W tej myśli więc skierowałem całą uwagę na pokój pana d'Orwalda i prędko przekonałem się, że nie dokonano tu żadnej zbrodni rzeczywiście. Śledztwo, które przeprowadziłem, wykazało mi bowiem, że ten, którego mieliśmy za zamordowanego, zemdlął tylko przy amputacji palca, którą przeprowadzili na nim zbrodniarze i powrócił do przytomności pod wpływem gorącej czekolady, wylanej na niego przez pokojową.

Pozatem odkryłem ślady kroków pana d'Orwalda, prowadzące do mieszkania starego profesora i krople krwi, wsiąknięte już w części w puszysty dywan rozciągający się na podłodze.

Kiedy zaś udałem się do profesora Schoettena, chcąc zbadać sprawę wykradzenia jego papierów

i kuferka, przekonałem się, badając jego postać uważnie, że w rękawiczkę, jaką miał na ręce, jeden palec u prawej ręki wypchany był watą. Jak sobie państwo przypominacie, profesor motywował przymus noszenia rękawiczki raną na palcu, spowodowaną oparzeniem. Ale teraz zachodziło ciekawe pytanie: Jeżeli fałszywy umarły, którego ciało poszukiwaliśmy wszędzie bez skutku, przyjął postać profesora Schoettena, co stać się mogło z prawdziwym profesorem?

Niedługo mogłem sobie to już wyjaśnić. Stało się to wówczas, kiedy mniemany pan Schoetten zwierzył się mi, iż ukradziono mu papiery ważne, pomiędzy którymi znajdowały się akta stwierdzające tożsamość jego osoby. Pan d'Orwald w obawie ścisłego śledztwa, któreby fałszerstwo jego wykryło, sam papiery te zręcznie usunął.

Na oknie zaś pokoju, gdzie odbyła się domniemana zbrodnia, widoczne były ślady drabinki szurowej, a na ziemi pod oknem odciski kroków.

Mogłem wnioskować z tego, że ten, który uchodził w pensjonacie za profesora Schoettena, nie był nim wcale i że mógł to być bandyta jakiś śledzący pana d'Orwalda w celu wykradzenia mu pierścienia. Uczynił to rzeczywiście w sposób okrutny i brutalny odcinając mu podczas snu palec wraz z klejnotem.

Pan d'Orwald zaś, znalazłszy się w pokoju profesora, skorzystał z porzucanych przez niego w pośpiechu przyborów do charaktetyzacji i sam się nimi posłużył, uchodząc dalej za starego uczzonego. Pani Donay na ośm dni przed dokonaniem zbrodni widziała naocznie papiery swojego lokatora i znalazła je w całkowitym porządku. Nie miałem więc podstawy do przypuszczenia, że były one sfalszowane i wierzyłem, że prawdziwy profesor Schoetten został z nich okradziony przez człowieka, który zapisał się w pensjonacie pod jego nazwiskiem.

Musiałem więc teraz wyszukać koniecznie te dwie podejrzane osobistości, które tak zręcznie podszyły się pod nazwiska profesora Schoettena i pana d'Orwalda, który w międzyczasie przybrał znowu postać starego uczzonego. Poszukiwania poczynione w kierunku d'Orwalda wydały nadspodziewany rezultat i dowiodły, że nazywał się on Schmidt i był kilkakrotnie już karany za kradzież i różne oszustwa.

To nazwisko nie było mi obce. Spotkałem się z nim w czasie głośnej sprawy włamania do mieszkania majora Shurley na Churchill Street. W tym samym czasie wpadła mi do ręki pieczęć z zielonego laku, nosząca odcisk indyjskiego pierścienia. W niedługim czasie doszło do mojej wiadomości, że Schmidt był przez czas jakiś sekretarzem majora Shurley'a. Wiedziałem już teraz, że Schmidt pierścień ten wykradł z bogatego zbioru majora jak również o ciekawej właściwości przywiązanej do tego indyjskiego klejnotu. Schmidt w zręczny sposób, chcąc odwrócić podejrzenie od siebie, sam, dobrowolnie zaofiarował usługi swoje policyjnej angielskiej i tym sposobem wprowadził ją w pole.

Ale Schmidt posiadał tylko pierścień, a pergamin, ten najcenniejszy dokument, bez którego pierścień tracił swoją prawdziwą wartość, był w rękach Ludovica Marmont. Wiedział on, że Marmont dołoży wszelkich starań, aby pierścień ten mu odebrać i obawiając się tej ewentualności, kazał sporządzić sobie duplikat tego klejnotu, który nosił zawsze na palcu, podczas kiedy prawdziwy umieszczony został przez niego w pewnym i bezpiecznym miejscu.

— Wiliamie — przerwałem nagle — nie mówisz nic dotąd o markizie da Santa Cruza. Jaką on znowu rolę odegrał w tem wszystkim?

Tharps uśmiechając się, spojrzał na mnie.

— Cierpliwości trochę, mój kochany — odrzekł — Właśnie o nim chciałem teraz mówić. D'Orwald, chcąc się pozbyć walizy, mogącej go skompromitować, wrzucił ją przez pierwsze otwarte okno do cudzego pokoju. Tym sposobem dostała się ona do mieszkania markiza, najbliższego sąsiada. Wiedział on doskonale, że teraz zwróci podejrzenia w tamtym kierunku. Zachowanie się opryskliwe markiza podczas śledztwa potwierdziło to przypuszczenie i Schmidt, korzystając z tak dobrej okoliczności, urządził porwanie markiza w chwili, kiedy ten, zwabiony jakimś szelestem, wyszedł z pensjonatu. O porwaniu nikt wiedzieć nie mógł. — Dla wszystkich markiz da Santa-Cruza, skompromitowany silnie w tej sprawie, zdecydował się na ucieczkę. Sztuczka ta, jak widzisz, udała się w zupełności. Schmidt zaś równocześnie ulotnił się, pozo-

stawiając za sobą porzuconą rękawiczkę — i tym sposobem znowu sam stawał się prześladowaną ofiarą.

— Wszystko to doskonale zostało uplanowane — zauważył pan Ricotte — Ale czy udało się panu odkryć, kim był pierwszy profesor Schoetten?

— Doszedłem łatwo do tego — odparł Tharps — i nawet od tej osobistości, która podjęła się tej roli, dowiedziałem się szczegółów.

— Ależ to zakrawa na bajkę! — zawołał pułkownik Ricotte — Niechże nam pan to opowie!

— Otóż, prawdziwy profesor Schoetten, ten, który obecnie znajduje się między nami, został pewnego dnia napadnięty wieczorem na ulicach Berlina, kiedy wychodził z jakiegoś odczytu i przytrzymany przez dni kilka.

— Ale w jakim celu? W jakim celu? — odezwały się niecierpliwie głosy.

— Ci, którzy uczynili zamach na profesora, chcieli mu wykraść pewne bardzo ważne papiery, dotyczące odkryć najnowszych, poczynionych przez niego. Po kilku dniach przywrócono profesorowi wolność, ale zaniebano mu wrócić osobistych papierów identyczności. Te papiery zaś posłużyły zuchwałemu oszustowi do przebywania w pensjonacie pani Donay.

— A kimże był właściwie ten zuchwały oszust? — zapytała ciekawie młoda wdowa.

Wiliam Tharps miał już odpowiedzieć, kiedy zbliżył się do niego towarzysz profesora i rzekł, wsuwając mu do ręki obszerną kopertę:

— Zanim pan da odpowiedź, panie Tharps, powinien pan to przeczytać!

Tharps objął człowieka przenikliwym spojrzeniem i lekki, ledwie dostrzegalny uśmiech przewinął się po jego ustach. Przełamał pieczęć koperty i wyjąwszy dużą, zapisaną ćwiartkę papieru, w milczeniu czytać zaczął.

Po chwili podał mi papier i rzekł:

— Przeczytaj to głośno, Synhamie, mam nadzieję, że treść tego listu zaciekawi naszych słuchaczy.

Oto, co zawierał ten niezwykły list:

„Niech pan przyjmie, panie Tharps, najszersze gratulacje za ten nowy sukces pana. W życiu należy być zawsze dobrym graczem, inaczej ono nie jest warte. Skoro indyjski pierścień z rąk mi się wymyka, uchylić czoło tylko mogę przed moim zwycięzcą. Mała niedyskrecja przy telefonie posłużyła mi niedawno do przedstawienia panu prawdziwego profesora Schoettena, którego miałem przyjemność poznać w Berlinie.

Zechce mu pan wręczyć papiery osobiste, które dołączam do tego listu i równocześnie złożyć mojej sympatycznej i szanownej gospodyni należne jej cenniejsze uszanowanie. Załuję tylko, że tak krótki przeciąg czasu przebywać mogłem pod jej dachem.”

Przerwałem czytanie i spojrzałem ciekawie po obecnych. W oczach wszystkich paliła się gorączkowa ciekawość i podniecenie.

— Podpis! Podpis! — szepnęła wzruszona pani Donay, patrząc na mnie błagalnie.

Cisza głęboka zaległa pokój kiedy, wśród ogólnego zdenerwowania wymówiłem głośno i dobitnie, znane nam wszystkim nazwisko:

— Ludovic Marmont!

Lekkie okrzyki rozległy się w salonie. Mężczyźni szybko powstali, szukając oczami dziwnego wysłannika, ale ten zdołał już ulotnić się niespostrzeżenie. Pułkownik Ricotte rzucił się ku drzwiom, chcąc go przytrzymać, ale na próżno!

Tharps zamyślony siedział w fotelu, uśmiechając się dziwnie.

Przysięgłbym, że rozmyślnie zwłóczył z odczytaniem listu, aby ułatwić ucieczkę wysłannika. Chciałem go o to zapytać, ale on wyczytał widocznie pytanie to w moich oczach, bo podszedł do mnie i szepnął mi do ucha:

— Przyznaj, mój kochany, że winniśmy mu to byli.

Sposób, w jaki te słowa wymówione były, zastanowiły mnie. Myśl nagła zrodziła się we mnie.

— Wiliamie — zawołałem, zapominając, że nas wszyscy obserwują chciwie — ten człowiek, który wyszedł stąd przed chwilą, to był on!? Ludovic Marmont!?

Ale Wiliam Tharps zapalił powoli papierosa trzymanego w ręku i nie zwrócił uwagi na mój niecierpliwy wykrzyknik.